Pojemna delta

Florian Śmieja przez Szkołą Podstawową w Kończycach, do której uczęszczał.

Edward Zyman *(Toronto)*

Florian Śmieja, nestor polskich poetów w Kanadzie, tłumacz i badacz literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, emerytowany profesor uniwersytetów angielskich i kanadyjskich, wykładający także w wielu uczelniach polskich, w jesieni swego życia imponuje niezwykłą aktywnością. Publikuje nowe tomy wierszy, esejów, szkiców i wspomnień, tłumaczy, jest obecny w krajowej prasie literackiej. Tylko w nowym tysiącleciu opublikował dwanaście książek, w tym obszerny, ponad czterysta stron liczący wybór poezji *Dotykanie świata* (2016) oraz blisko dwustustronicowy tom wierszy nowych *Nanizując paciorki słów. Z notacji ostatnich* (2018). *Delta czasu* to szósty z kolei tom eseistycznej prozy, w której sędziwy pisarz podejmuje interesującą próbę odzyskiwania bogatej, obfitującej w *zbliżenia i kontakty*

przeszłości.

> *Jesteśmy – pisze w Przedsłowiu autor – świadkami zmierzchu głośnej emigracji wojennej. Wymierają ostatni jej przedstawiciele i wnet cała nasza wiedza na temat tego niezwykłego zjawiska politycznego i kulturalnego będzie pochodzić z drugiej ręki, od ludzi, którzy tej formacji i jej protagonistów nie znali. Wprawdzie pozostała ich twórczość i posiadamy wiele dokumentów dotyczących wybitnych emigrantów i ich współczesnych, ale nigdy nie za wiele jest opowieści i zapisków świadków.*

Florian Śmieja jest świadkiem z wielu względów atrakcyjnym i wiarygodnym. W młodości współtworzył fenomen, jakim była londyńska grupa „Kontynentów", skupiająca pisarzy, których nazwiska w sposób trwały zapisały się w dziejach polskiej literaury współczesnej. Przede wszystkim poeta, ale także redaktor i współpracownik najważniejszych pism emigracyjnych („Wiadomości", „Oficyny Poetów", „Kultury", macierzystych „Kontynentów"), płodny publicysta, kronikarz ważnych wydarzeń kulturalnych polskiej diaspory, pracownik uniwersytecki i pełen pasji poznawczej globtroter otwarty na nowe kultury i kolekcjonujący spotkania z ich ważnymi reprezentantami.

Bohaterów swej najnowszej książki – przede wszystkim ludzi pióra, choć nie tylko – profesor Śmieja poznał w Anglii, Francji, Niemczech, Hiszpanii, Meksyku, Kolumbii, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Kanadzie i Polsce. Aby się spotkać z wieloma spośród nich organizował wnikliwie przygotowane wyprawy badawcze, przebywał imponujące przestrzenie podążając śladami bohaterów ich książek, a raz nawiązane kontakty pielęgnował wytrwałą, wieloletnią korespondencją, której pokaźne tomy trafiły niedawno do archiwum Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Delta czasu nie przynosi wyczerpujących opisów monograficznych, jest raczej zbiorem lekkich, utrzymanych w konwencji felietonowej, żywo napisanych i miejscami błyskotliwych zapisków o twórcach, instytucjach i zdarzeniach, w różnym stopniu wpisanych w intelektualną i literacką biografię autora. W zależności od stopnia zażyłości i intensywności kontaktów (od ulotnych, okazyjnych spotkań po kilkudziesięcioletnie przyjaźnie) zapiski te są bardziej obszerne lub zgoła

fragmentaryczne, lecz zawsze dla czytelnika, zwłaszcza krajowego, niezwykle zajmujące. Autor pisze często o sprawach mało znanych, poprzez interesująco, niekiedy dowcipnie uchwycony szczegół: gest, słowo, celną anegdotę – przywracający głośnym postaciom kultury ich naturalny, chciałoby się rzec: ludzki wymiar. Z troską pochyla się nad dorobkiem piszących, którzy z różnych powodów nie znaleźli się w głównym nurcie zainteresowań badaczy polskiej literatury na obczyźnie (Wojciech Gniatczyński, Piotr Guzy, Beniamin Józef Jenne, Zygmunt Ławrynowicz, Wacław Liebert). Przedstawia w zwięzłej, lecz nasyconej faktografią formie zasłużone dla kultury polskiej instytucje emigracyjne (Polski Uniwersytet na Obczyźnie z jego znakomitą kadrą profesorską: Władysławem Folkierskim, Stanisławem Kościałkowskim, Stanisławem Kotem, Marianem Kukielem, Stanisławem Swianiewiczem, Władysławem Wielhorskim, londyński ośrodek wydawniczy Veritas, Oficynę Poetów i Malarzy Czesława i Krystyny Bednarczyków, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Fundację Turzańskich, Archiwum i Muzeum im. płk. Bolesłwa Orlińskiego). Większość z przekazywanych czytelnikom wrażeń, opinii, fragmentów listów i cytowanych wypowiedzi dotyczy ludzi, instytucji i zdarzeń znanych autorówi z autopsji. Pisarz staje się tym samym (nie stroniącym wprawdzie od subiektywizmu) kronikarzem, który daje nam relacje z pierwszej ręki.

Na kartach *Delty* pojawia się kilkaset znakomitych nazwisk polskich i obcych – pisarzy, muzyków, uczonych, dziennikarzy, polityków, animatorów życia kulturalnego, w tym wybitnych postaci polskiej diaspory, które już za życia obrosły legendą. Wymieńmy małą próbkę w porządku alfabetycznym: Gustaw Arango, Bogumił Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Jan Bielatowicz, Danuta Irena Bieńkowska, Zofia Bohdanowiczowa, Renata Bogdańska, Jan Brzękowski, Roy Campbell, Camilo Jose Cela, sir George Clutton – pierwszy ambasador Wielkiej Brytanii, który pobierał z sukcesem nauki polskiego u autora *Delty*, Marian Czuchnowski, Maria Danilewicz-Zielińska, Jan Darowski, Karl Dedecius – autor pierwszej antologii poezji polskiej, w której Florian Śmieja miał niebagatelny udział, Louis Dudek, Józef Garliński, Jerzy Giedroyc, Mieczysław Grydzewski, gen. Józef Haller, Marian Hemar, Benedykt Heydenkorn, Wacław Iwaniuk, Aleksander Janta-Połczyński, Tymoteusz Karpowicz, ks. Tadeusz Kirsche – kapelan Radia Wolna Europa, Józef Kisielewski – autor głośnej książki o słowiańskości wschodnich Niemiec *Ziemia gromadzi prochy*, Leszek Kołakowski, Jan Kowalik, Jan Leszcza (wł.

Wiktor Londzin), Józef Łobodowski, Paweł Łysek, Jan Nowak, Zygmunt Nowakowski, Michael Ondaatje, Marian Pankowski, Jerzy Pierkiewicz, Aleksandra Piłsudska, Leopold Pobóg-Kielanowski, ks. Zdzisław Peszkowski, Elena Poniatowska, Juliusz Poniatowski, Alexander Porker, Robert D. F. Pring-Mill, Al Purdy, Bronisław Przyłuski, Czesław Straszewicz, Tadeusz Sułkowski, Tymon Terlecki, Wiktor Wientraub, Kazimierz Wierzyński, Edward M. Wilson, Józef Wittlin, Olga Żeromska.

Jestem przekonany, że nawet wytrawni czytelnicy eseistycznych publikacji „Odry" z niektórymi z tych nazwisk mogą mieć pewne problemy, by usytuować je we właściwym dla nich obszarze artystycznej i intelektualnej aktywności. Nie może to dziwić, gdyż reprezentowane przez bohaterów książki spektrum zainteresowań, specjalności, talentów, dokonań i miejsc w sensie geograficznym jest prawdziwie imponujące.

Spędziwszy zdecydowaną większość życia na obczyźnie, Florian Śmieja nie zaniechał kontaktów z Polską. Bywał w niej także w okresie, w którym było to na emigracji niezwykle źle widziane. Jako pisarz miał świadomość, że kontaktów tych zerwać nie może. W wędrującej z nim po świecie – imponującej – domowej bibliotece znalazły się najważniejsze tomy polskiej poezji i prac krytycznoliterackich, roczniki periodyków, leksykony, obfita korespondencja z polskimi twórcami.

Podobnie jak w przypadku znamienitych postaci polskiej i światowej kultury, z którymi autor *Delty* zetknął się na obczyźnie, długa jest lista wybitnych przedstawicieli polskiego życia literacko-artystycznego i politycznego w kraju. Nie sposób przytoczyć w tym omówieniu nawet części ich nazwisk, ograniczmy się tedy do najbardziej charaktersytycznych przykładów. Tworzą je m. in. Beata Baczyńska, Jan Błoński, Ludwik Flaszen, Jan Goczoł, Jerzy Grotowski, Henryk Mikołaj Górecki, Zbigniew Herbert, Tadeusz Kijonka, Andrzej Kijowski, Stefan Kisielewski, Zygmunt Kubiak, Kazimierz Kutz, Stanisław Jerzy Lec, Adam Michnik, Wilhelm Szewczyk, Józef Musiał, Tadeusz Różewicz, Wojciech Siemion, Piotr Sawicki, Janusz Szuber, Jerzy Turowicz, ks. Jan Twardowski, Jerzy Zawieyski,

Walorem *Delty* jest nie tylko różnorodność i obfitość postaci, instytucji i zdarzeń, lecz przede wszystkim sposób, w jaki autor o nich pisze. Jak wspomniałem wcześniej, Florian Śmieja jest świadkiem (i uczestnikiem), który nie stara się być za wszelką

cenę obiektywnym. Choć w porównaniu z wcześniejszymi tomami swoich wspomnień, w *Delcie* powściąga swoje emocje, nie waha się przed subiektywną oceną zachowań, tekstów i decyzji swoich przyjaciół z „Kontynentów" (np. Czaykowskiego, którego na krótko przed śmiercią odwiedzi w Vancouver, odnotowując *Ziemioskłon*, ostatni tom tego wybitnego poety, z należną mu uwagą i życzliwością). Nie skrywa pod suknem kierowanych w swoim czasie pod adresem „młodych gniewnych" i ich pisma krytycznych uwag Jana Bielatowicza, ani też jego opinii na temat konstatacji krytycznych Marii Danilewicz-Zielińskiej, z którą nawiasem mówiąc łączyła autora *Delty* wieloletnia serdeczna i zażyła przyjaźń. Przypomina prowadzone przez siebie spory, m. in. z autorem niniejszego omówienia, z którym wadził się przed laty na łamach pism krajowych i emigracyjnych, krytycznie wypowiada się na temat – świetnej w moim przeświadczeniu – antologii polskiej poezji na obczyźnie Bogdana Czaykowskiego. Nade wszystko jednak relacjonuje swoje spotkania i intelektualne przygody z twórcami – ludźmi wielu kultur, których poznawał, najczęściej z własnej inicjatywy redaktora, pisarza i badacza.

Warto zatrzymać – na przykład – oko na fragmentach, w których autor *Delty* wspomina swe spotkania z recenzentem jego pracy doktorskiej prof. Robertem D. F. Pring-Mille'em, przyjacielem Polski, który chciał zrezygnować z angielskiej armii po tym, jak rząd Jego Królewskiej Mości uznał Komitet Lubelski, co wybitny szkocki uczony uznał za jawną zdradę ze strony aliantów. Na uwagę zasługują refleksje na temat postaci i twórczości jednego z czołowych poetów kanadyjskich – Alfreda Wellingtona Purdy'ego, podobnie jak ciepłe wspomnienie o interesującej, tragicznie zmarłej poetce Danucie Irenie Bieńkowskiej, czy o ks. Janie Twardowskim, który, choć opuścił przed laty ten najlepszy ze światów, zdaje się, jako w pełni osobny poeta, święcić coraz większe sukcesy.

Jedno ze słownikowych haseł delty mówi, że jest to *równinny obszar u ujścia rzeki*. Obszar życiodajny, bo stwarzający optymalne warunki dla ludzkiej egzystencji. *Delta czasu* byłaby zatem (i jest) metaforą owocnego, spełnionego, nasyconego soczystym miąższem zdarzeń i kontaktów życia.

> *Chciałbym – pisze w zakończeniu swego tomu 93-letni autor – mieć nadzieję, że i ta „krucha książeczka", zawierająca moje zapiski czynione zazwyczaj o świcie, utrwali i przechowa „ślady światła", jakimi były dla mnie spotkania z frapującymi*

ludźmi i ich dokonaniami, a także z przejawami innych kultur, do których poznawania skłaniała mnie – wrodzona i zrozumiała najpierw u malca z prowincji, a później wieloletniego emigranta – ciekawość świata.

Utrwali i przechowa z pewnością.

Florian Śmieja: *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice 2018, s. 202.

Artykuł ukazał się w „Odrze” 2019, nr 5.

Czyżby zmierzch redaktorów?

Florian Śmieja, Jan Kaszuba, Wojciech Krajewski, Adam Bromke, Benedykt Heydenkorn, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja *(Mississauaga, Kanada)*

Panie Redaktorze, pyta Pan mnie, jak to było dawniej sugerując, że ja pamiętam jeszcze, co się działo w ciągu ostatniego półwiecza w prasie polskojęzycznej na Zachodzie. Nie wiem, jak jest z tą pamięcią i czy dużo pamiętać to dobrze. Owszem, w latach czterdziestych zacząłem czytać prasę codzienną i czasopisma w Anglii. Prasa ta miała twarde życie, skoro „Dziennik Polski" ukazuje się w Londynie po dzień dzisiejszy. Widać, że ta prasa miała wiernych czytelników i że była pisana przez ludzi ideowych znających także swój fach. Zresztą sam również brałem aktywny udział redagując, względnie współpracując, przez dziesięć lat z trzema pismami młodych w Londynie. (Odsyłam do trzech książek, które dotychczas ukazały się w Polsce na ten

temat. A zanosi się na więcej).

Kiedy w roku 1969 przeniosłem się z Anglii do Kanady, nadal abonowałem znakomity tygodnik londyński „Wiadomości” oraz miesięcznik paryski „Kultura” aż do ich zamknięcia. Natomiast moją prasą codzienną stały się rywalizujące z sobą na terenie Ontario tygodniki (w pewnym momencie jeden z nich stał się pół tygodnikiem) „Głos Polski´ i „Związkowiec”. Oba pisma, czy raczej ich cienie, z czasem zamilkły, a kiedyś miały nakłady sięgające tysięcy egzemplarzy, które wówczas się sprzedawały i słały poza granice Kanady. Jaka jest sytuacja obecnie?

Minęły już lata od śmierci w Toronto Benedykta Heydenkorna (1906-1999), wybitnego dziennikarza i wieloletniego redaktora „Głosu Polskiego”, a później „Związkowca”. Żył mężnie wśród kanadyjskiej Polonii, choć sam z niej nie był, przyjechał bowiem z emigracji niepodległościowej. Przeszedł przez Związek Sowiecki, a potem z II Korpusem gen. Władysława Andersa był we Włoszech i został zdemobilizowany w Anglii. Staż swój w Kanadzie zaczął od kontraktowej pracy fizycznej, ale z czasem stał się korespondentem prasowym (niepłatnym), aż wreszcie współpracownikiem i kierownikiem pism.

Praca w dziennikarstwie była pół wieku temu bardziej honorowa niż intratna. Płace były skromniutkie, żadnych przywilejów, libacji w konsulacie czy darmowych biletów LOT-u. Były to czasy ascezy i wolontariuszy, za to robiło się dużo, bo dla sprawy. Ludzie emigracji żołnierskiej marzyli o powrocie do Polski, nie imponował im Zachód, rzadko który robił karierę. Mniej z pewnością było sporów o pieniądze publiczne, gdyż ich nie było lub były zbyt skromne. Kasa Pożyczkowa dopiero co się wykluła. Z czasem jednak zapał społeczników począł stygnąć, szczególnie, gdy zaczęła odchodzić starszyzna.

Nie panowała bynajmniej wyłącznie sielanka. Jak to wśród krewkich Polaków, wybuchały scysje, zatargi i pomówienia zazdrośników oraz zawiedzionych karierowiczów, blagierów wszelkiej maści, których na emigracji nigdy nie brak, a którym Heydenkorn nie schlebiał i polityków, którym bębenka nie chciał podbijać. Cieszył się za to zaufaniem współpracowników, wdzięcznością czytelników i wielu członków Polonii, którym gratisowo radził i pomagał. Bo redaktor był kiedyś instancją poważaną, człowiekiem zaufania, który stał ponad partiami i prywatą,

osobą nieprzekupną i niezawisłą. Był nieomal moralną wyrocznią.

Jego wyraźny głos znajdował posłuch. Czy kiedy domagał się zwrotu skarbów wawelskich przechowywanych w Kanadzie, czy kwestował na chleb dla Polski, był osobowością, z którą się liczono. Respektowały go także władze kanadyjskie. Od samego początku działalności w Kanadzie opowiadał się za zapisywaniem się Polaków do kanadyjskich partii politycznych i do odgrywania roli w życiu kraju zamieszkania, kiedy nie było to dobrze widziane, a nawet ostro krytykowane.

Animacja polskiego życia kulturalnego w wydaniu Heydenkorna nic nie miała wspólnego z pragmatycznym, czy wręcz interesownym podejściem chytrych i obrotnych aktywistów, którzy się zaczęli pojawiać później. Redaktor wiele rozumiał. No, może dziwił się nieco, że uciekinierzy spod komunizmu tak chętnie zaczęli natychmiast jeździć na Kubę nie martwiąc się o tamtejszą ludność nadal trzymaną w ryzach totalitaryzmu. Cechowała go tolerancyjność i chęć pomagania. Zachęcał i zagrzewał zainteresowanych i radził, podsuwał materiały i wprowadzał do zagadnień i tematów mało dbając o własne imię, a tym bardziej kiesę.

Dziś, gdy przeglądamy stosy wywiadów robionych ostatnimi laty z jednodniowymi fenomenami polskiego życia w Kanadzie, zauważymy, że wśród nich brakuje prezentacji Heydenkorna. Wszystkie płotki są w komplecie, brak dużej ryby. To już wina tuzinkowych ludzi, którzy dosiedli zbyt wysokich dla siebie foteli. Rozeznanie mieli kiepskie i krótkowzroczne. Heydenkorn nie wypinał piersi do orderów i wyróżnień, za to był natchnieniem i dobrym duchem wielu poważnych historyków, socjologów i dziennikarzy, którzy idąc jego śladami studiowali polską diasporę w Kanadzie i napisali o niej wiele istotnych studiów i monografii.

Pamiętam, jak się jedynie łagodnie uśmiechnął, kiedy w „Związkowcu” zaczęła pracować młoda pani przyjezdna z Polski i oświadczyła z tupetem, że była pierwszą dziennikarką z prawdziwego zdarzenia na terenie Kanady. Już o niej zapomniano. Redaktor do końca interesował się fluktuacją polskiej diaspory, sumiennie notował inność kolejnych fal polskich imigrantów przezywanych raz ‘mormonami’ raz ‘sylwestrowo-kabaretowymi’, uznając spokojnie, że zmieniają się ludzie i ich ideały a także potrzeby. Mówił do końca o konieczności szybkich przemian struktur polonijnych.

Jakie mogą być moje refleksje Anno Domini 2019? Odeszli od nas wielcy redaktorzy, którzy na Zachodzie pokazali wysoką klasę człowieczeństwa i fachowości, myślę przede wszystkim o Mieczysławie Grydzewskim czy Jerzym Giedroyciu, ale także o wyżej wymienionym Benedykcie Heydenkornie. I po nich zaległa pustka. Może po prostu w dziennikarstwie nie ma już zapotrzebowania na jednostki nieprzeciętne w erze szarego człowieka, który osobowości ośmieszył i oszkalował, bo nie potrafił im dorównać? Na wielkich spędach i przy szumie nowych gwiazdorów i ulubieńców ludzie płynący nie z prądem musieli przegrać? Nie pasowali do warchołów i konsumentów dóbr, do pogrążających w niesławie dobre imię, na które inni ciężko pracowali przez wiele lat.

Zastanawiałem się onegdaj nad listą ewentualnych solidnych firm, rodaków spolegliwych, na których można polegać. Pomyślałem o jednym takim, co przyleciał do mnie jak po ogień, bo chciał robić pilny wywiad. Zabrał kupę fotografii i nie potrafię tych fotografii odzyskać. Z wywiadu oczywiście, nici. Inny ma moją taśmę i książki i również nie umiem ich odebrać. A niech was z taką solidnością! To chyba wiele mówi o stanie sprawy.

Potem na całym świecie nastąpiło załamanie sie prasy. W miejsce dawnych ambitnych publikacji powstało wiele nowych pism. Teraz, darmowe, walają się wszędzie, ale nie ma wśród nich takiego, którego lektura byłaby konieczna. Nie widać też rzetelnych, słownych redaktorów budzących powszechne zaufanie, bo ustawicznie uwikłani są w połajanki i kłótnie, a równocześnie pretendują do reprezentowania czegoś i kogoś, a jako tacy wirtualni przedstawiciele latają do kraju chcąc za wszelką cenę pozostać uprzywilejowanymi pupilkami za granicą.

Nowa sytuacja pozbawiła nas głosu. Można i tak żyć. W Polsce nasi ziomkowie zafundowali sobie cezaropapizm. Co nam przyniesie jutro?

O Benedykcie Heydenkornie:

https://www.cultureave.com/wspominajac-wybitnego-redaktora/

Emigracyjni kapłani i łacinnicy

Ks. Tadeusz Kirschke kapelan Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachim, publicysta. Współpracownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w latach 1952 – 1981, fot. wikipedia, domena publiczna.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Nasza emigracja żołnierska miała znakomitych kapłanów, że wspomnę jeszcze dwóch: ks. Tadeusza Kirschke (1908-1996), mądrego, wyrozumiałego i pogodnego

człowieka, z którym mieszkałem w polskim hospicjum na londyńskim Earl's Court. Robiliśmy mu różne burszowskie kawały, jak np. wystawiali gazetkę: "Vanitas" *(marność, red.)*, kiedy schodziła się młodzież na zebrania przez niego prowadzonego koła "Veritas" *(prawda, red.)*. Potem rozsławiło go radio Wolna Europa, lecz niewielu pamięta, że wojnę przeżył w obozie jenieckim w Murnau i cudem uniknął śmierci, na którą został skazany za konspirację w niewoli.

Innym ocalałym kapłanem był ks. prałat Zdzisław Peszkowski (ur. 1918), potem w Polsce widoczny jako kapelan Rodziny Katyńskiej. Ostatnie z nim spotkanie miało miejsce w polskim seminarium Orchard Park koło Detroit, a jego antologię poezji maryjnej hołubię jeszcze od Londynu.

***

Ks. Stanisław Bełch ślęczał nad edycją łacińskich pism rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie Pawła Włodkowica. Bywał on w USA, by zastępować proboszczów wybierających się na urlopy. Parafianie z rewerencją tytułowali go mianem "księdza autora".

***

Kiedy w Anglii przedstawiałem żonę ks. arcybiskupowi Gawlinie (1892-1964), ten spytał, czy ona również "rządzi", tj mówi gwarą śląską (Gawlina był spod Raciborza). Odpowiedziałem, że owszem "rządzi", ale w ogólnopolskim znaczeniu tego słowa.

***

Miałem szczeście do łacinników-pasjonatów, choć nie pamiętam imion dwu najważniejszych, a ich instytucje nie przechowały o nich pamięci. Pierwszym moim mistrzem był "Kanciok", Rój, w Tarnowskich Górach, tuż przed wybuchem wojny, był surowy, ale jakoś stałem się jego ulubieńcem.

W Szkocji moim profesorem był Besaga, nie pomnę imienia i nie wiem jak pisać jego nazwisko, tak wymownie przedstawił Wergilego, że wojskowa brać zorganizowała specjalny wieczór zatytułowany "Nasz przyjaciel Maro". Wśród przekładów recytowano także moje wersje łacińskich urywków Wergiliusza. Potem wydrukowałem w londyńskim "Życiu" przekład czwartej eklogi, "mesjanistycznej"

tego poety, ale uwieńczeniem moich zachodów było wręczenie tego tekstu wielkiemu szampionowi klasyki, Janowi Parandowskiemu (1895-1978), kiedy odwiedził Londyn, a ja pośpieszyłem do British Museum, by na jego stopniach spotkać się z nim na pamiętny moment.

Dawni i młodzi twórcy

Bolesław Taborski. Kadr z filmu „Moje Powstanie” w reżyserii Anny Taborskiej.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Z dystansu czasu garstka dziewięciu młodych polskich studentów, która w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego stulecia znalazła się w Londynie, nie przestaje zadziwiać swoją postawą i losami. Wymienię ich nazwiska alfabetycznie: **Andrzej Busza, Bogdan Czaykowski, Adam Czerniawski, Jan Darowski, Janusz Ihnatowicz, Zygmunt Ławrynowicz, Mieczysław Paszkiewicz, Florian Śmieja** i **Bolesław Taborski**. Zaczęli wtedy wspólnie wydawać swoje pisma i pierwsze książki. Znalazlszy się na bezpiecznym i zasobnym Zachodzie ludzie ci, po uciążliwych przejściach przez Sowiety i wojenną Europę, opanowali język angielski, ale… choć zdobyli brytyjskie dyplomy uniwersyteckie, sercem przylgnęli do języka i dziedzictwa polskiej ojczyzny. Pozbawieni z paru wyjątkami domu rodzicielskiego w niesprzyjających warunkach douczyli się języka polskiego i władali nim do tego

stopnia, że potrafili go po mistrzowsku używać.

Może zajęli stanowisko reakcyjne, nieżyciowe, niepazerne, niezrozumiałe dla młodszych roczników marzących o wydostaniu się czym prędzej z Polski i robieniu kariery na Zachodzie.

Może jednak, ci młodzi ratowali duszę ukształtowaną przez międzywojenny etos wychowania i oświaty w Polsce, i dali świadectwo pogrobowców wartościom utraconej ojczyzny, spadkowi trudnego dziedzictwa.

Patrzącego na dokonania tych niewyobcowanych przez wojnę i Zachód młodych, zdumiewa bogactwo ich osiągnięć. Rodzi się pytanie: skąd wzięła się ich niespożyta energia i ambitne inicjatywy, by zrobić coś dla Polski, by przysporzyć jej chwały mimo, że Polska nie dała im ani wykształcenia, ani zawodu, ani pracy czy wynagrodzenia, ba, nawet uznania? Co było motorem ich aktywności ? I dochodzę do wniosku,że chyba tylko bezintresowne, synowskie przywiązanie i poczucie moralnego obowiązku.

Jeden z nich, **Bolesław Taborski** został w 2007 roku wyróżniony przez Związek Pisarzy Polskich za Granicą nagrodą za całokształt twórczości literackiej. Urodził się w 1927 roku w Toruniu, wziął jeszcze jako młodzik udział w Powstaniu Warszawskim, skończył teatrologię na uniwersytecie angielskim w Bristolu, a następnie pracował w polskiej sekcji BBC. Oprócz dwudziestu kilku tomów poezji, które wydał, opublikował m.in. książkę o Ojcu św., przetłumaczył sztuki Papieża na angielski, eseje Jana Kotta o Szekspirze, a na język polski, powieść Grahama Greene'a i dwadzieścia sztuk teatralnych noblisty, Harolda Pintera. Bolesław Taborski , mieszkający od 1953 roku w Londynie , ogromnie życzliwy i koleżeński społecznik, jeździł regularnie do Polski i udzielał się szczodrze w polskim życiu teatralnym. Zmarł w Londynie w 2010 r.

Korespondencja z Janem Bielatowiczem (1913-1965).

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Wcześnie zmarły Jan Bielatowicz, krytyk, pisarz i redaktor, był barwną postacią w Londynie, gdzie go poznałem. Terminowałem w jego miesięczniku „Życie" i pamiętam jeszcze pochwały moich filologicznych artykułów, które spotkały się z jego szczodrą aprobatą.

Bielatowicza spotkałem w Londynie po przyjeździe ze studiów w Irlandii. Mogło to być już w 1950 roku. Być może przedstawil mnie jemu Wojciech Gniatczyński, mój kolega z irlandzkich studiów, który znalazł zatrudnienie w katolickim ośrodku wydawniczym „Veritas". W owym czasie zacząłem pisać wiersze i prace filologiczne próbując drukować je w prasie emigracyjnej. Przypominam sobie moją znaczniejszą rozprawkę o niemieckich tłumaczeniach *Pana Tadeusza,* którą Bielatowicz przyjął do miesięcznika „Życie" i bardzo chwalił.

Był jednym z nielicznych krytyków literackich na emigracji. Nie brakowało mu odwagi.i nie wstydził się bronić polskiej tradycji i ostrzegać przed odszczepieństwem. Wołał o miłość do ojczyzny i języka w patetycznych słowach:

> *A więc panowie akademicy: macie rację, że was nie bawi polska kultura, skoro w duszach waszych zagościła już na dobre kultura inna. Tylko, że to nie usprawiedliwia obojętności dla kultury macierzyńskiej. Bo tylko ludzie bez ambicji lub bez sumienia mogą się wyrzec swej matki. Strzeżcie się więc, abyście nie zgubili polskich serc. Bo z tej straty – nie wytłumaczycie się ani swoim ani obcym. Nie wytłumaczycie się żadnym językiem świata ani ludziom ani Bogu.*

W jednym z numerów „Życia Akademickiego" formułowal swoje sensowne postulaty pod adresem wychodźstwa:

> *Zadania polskiej emigracji kulturalnej są dwojakie: dotrzymywać kroku rozwojowi kultury w Polsce i próbować gromadzić i uzupełniać te dobra kulturalne, których Kraj nie może dziś wytworzyć.Troskę o przyszłość pozostawmy Krajowi.*

W 1954 roku Bielatowicz pojawił się na moim ślubie w Londynie, gdzie na przyjęciu poweselnym wygłosił dowcipne przemówienie podkreślając bratanie się kresów, Polesia i Śląska w osobach protagonistów ceremonii.

Z racji drukowania w piśmie Bielatowicza utrzymywałem z nim luźną korespondencję, w której z czasem zaczęły się pojawiać echa jego reakcji na ataki ze strony młodych wydających pisma „Życie Akademickie", a później „Merkuriusza" i „Kontynenty", z którymi byłem związany.

Już w liście z 30.12.1958 roku skarżył się:

> *Że moje sądy nie podobają się merkuriuszowej młodzieży literackiej, wiem już nie od dziś. Są wśród niej tacy, którym ułatwiałem pierwsze kroki literackie w druku, a którzy potem wymyślali mi niegrzecznymi epitetami. Inny poeta, gdym do jego utworów dorobił przecinki, nawymyślał mi od złodziei, jeszcze inny dawal mi pouczenia, kogo należy uważać za emigracyjnego poetę.*

Po pożegnalnym numerze starego „Merkuriusza” nie ma złośliwości, do której by wychowana na wzorach zachodnich w duchu demokracji, młodzież nie była zdolna. W przedwojennej Polsce istniały pisma, które się utrzymywały z paszkwilanctwa. Redaktor odpowiedzialny posiedział trochę, ale sadła zalał za skórę komu chciał. Na emigracji zadanie jest łatwiejsze, ponieważ obelg nikt nie piętnuje.

Z nieco większą nadzieją w ‘Notatkach’ „Życia” pisał:

Wystrzelono już w emigracyjną próżnię kosmiczną nową rakietę pod nazwą „Kontynenty-Nowy Merkuriusz”. Bardzo sympatyczne jest to, że w pierwszym numerze nowego „Merkuriusza” zespół odwołał, późno, ale szczerze, znaczną część połajanek z ostatniego numeru „Merkuriusza”. Miło przeczytać kulturalne i rozsądne uwagi na ten temat Wojciecha Gniatczyńskiego i Bogdana Czaykowskiego. Poza tym życzymy powodzenia na nowej drodze życia. I koniecznie porządnego korektora. Brak korektora nie przyniesie szkody chyba tylko nowoczesnej poezji.

Nieco poźniej w dyskusji w „Kontynentach” komentował w liście:

Zabawna jest ta wasza dyskusja, z której wynika, że jeśli się czegoś nie czytuje, to znaczy że to „coś” jest złe, czyli argument z ignorancji. Tak przynajmniej, raczej cynicznie, wypowiedziała się opozycja przeciw „Wiadomościom”. Nie czytamy, bo są złe. Bardzo czarujące. Ostatecznie, oprócz Mieroszewskiego, Gombrowicza i Milosza, ci sami autorzy obsługują „Wiadomości”, co „Kulturę”. Stąd by wynikało, że nawet geniusz potrafi zmienić się w grafomana zależnie od tła. Coś jak kameleon. A już najbardziej kapitalnie brzmią sądy o wszystkich autorach spoza grupy „Kontynentów” jako o urodzonych grafomanach. Czerniawski czyta cudze wiersze tylko po to, aby stwierdzić genialność własnych.

Zaprosiłem Bielatowicza do zabrania głosu w kwestii literatury na emigracji po artykule Danilewiczowej. Odpowiedział:

Nie chciałbym jednek zabierać głosu w sprawie rzeczy Pani Marii, bo niezależnie od jej metody krytycznej (cenzurki) i samej oceny wartości poszczególnych pisarzy

emigracyjnych (z jej ujęcia wynika, że wszystko, co dotąd na emigracj napisano to mała kropelka wody wobec gigantycznych walorów poezji grupy „Kontynentów”) musiałbym chyba napisać drugi takich samych rozmiarow raport ze sprostowaniami ogromnej ilości błędów, omyłek, przeinaczeń, opuszczeń itp. Pani dr pisala ten referat, jak sądzę, na kolanie i upstrzyła go setką błędów rzeczowych, o których pewne (np. że Czuchnowski ‘objawił się jako poeta dopiero w 2 Korpusie) trącą skandalem zważywszy, że pochodzą spod pióra poważnej pisarki. Nie mam osobistych porachunków z Autorką, bo aż nadto pochlebnie mnie w swej pracy powitała, ale tak naprawdę nie można. To oczywiście, tylko dla Pańskiej prywatnej wiadomości, bo nie chciałbym szanownej Autorki urażać.

Muszę powiedzieć, że bardzo mi sie podoba Sito w swojej roli w Kraju i niesłusznie „Kontynenty” go zaatakowały. On jednak wyciągnął praktyczne konsekwencje ze swej antyemigracyjnej postawy, zupełnie inaczej niż np. Taborski.

Obiecany artykuł napotkał jednak na przeszkody.

Co się tyczy mojego artykułu, o czym mi Pan przypomina, musiałem zmienić zdanie. List, jaki PP Czaykowski i Sulik, redaktorzy „Kontynentów” napisali do „Dziennika” po mojej recenzji z ich książki, utwierdził mnie w przekonaniu, że nie będzie między nami nie tylko porozumienia, ale nawet trudno znaleźć jakąś wspólną kulturalną bazę. Coraz więcej mnie dziwi fakt, że tak szumnie sławiony wpływ obyczajów anglosaskich na młode pokolenie, zamiast nauczyć go manier publicystycznych, obraca się w umysłach i temperamentach tego pokolenia w niwecz. Styl dyskusj redaktorów „Kontynentów” (myślę o wyżej wspomnianych) przypomina obyczaje panujące w Mongolii Zewnętrznej. Nie umiałbym w takim gronie powiedzieć ani słowa. Jeśli ci panowie chcą mieć za wszelką cenę rację, niechże ją sobie mają dla siebie.

W kolejnym liście z 1962 roku Bielatowicz donosił:

Artykułu, o którym kiedyś mówiliśmy, nie napiszę, bo mam już wypełniony kalendarzyk zajęć aż do czerwca b.r. Ale bardzo chętnie wezmę udział w wieczorze na temat – Czy pogrzebać „Kontynenty”? Prosiłbym jednak o prawo do gadania

przez jakies 25 minut, bo chciałbym wygarnąć wszystko i od serca, nie tyle na osobiste tematy, jak to bywało w zwyczaju Kontynentalistów, lecz na tematy ideowo-pokoleniowe. Nie byłaby to zresztą, jak śmiem tuszyć chała ani kit, lecz z lekka wesoła pogaduszka. Myślę, że pomysł jest ciekawy i może rozpalić widownię (if any). Czekam na odpowiedź w tej materii.

Przy sposobności przepraszam, że nie przywitałem się z Panem na zebraniu z Zawieyskim, ale byłem tak wściekły na mówcę za te brednie, które plótł jak Piekarski na mękach, żem po prostu uciekł, żeby nie zrobić jakiejś karczemnej awantury. Sztandarowy katolik przyjeżdża z misją politruka i do ludzi mieszkających na Zachodzie prawi dyrdymały w stylu Chandry Umyńskiej lub zebrania komsomolców w Stalinowej Wólce opatrując to cytatami z Papieża. Aż wstyd pomyśleć, jak nisko się potrafią niektórzy stoczyć, gdy im zasmakuje dygnitarstwo. Więc nawet nie mogłem ust otworzyć po tym ponurym widowisku i słuchowisku i wypadłem jak oparzony, byle najdalej.

Kiedyś w naszej korespondencji padła taka opinia Bielatowicza o wspólnym przyjacielu:

Wojtka Gniatczyńskiego zgubił obóz niemiecki. Wyszedł z niego zupełnie rozbity fizycznie i chyba nie wróci nigdy do normalnego funkcjonowania intelektualnego. Wielka szkoda.

Kiedy w 1962 roku podjąłem się prowadzenia samemu „Kontynentów” Bielatowicz się ucieszył.

Mam nadzieję, żę pismo to nareszcie posteruje we właściwyn kierunku, tzn. nie zrzekając się odrębności i własnej niezależności, włączy się do nurtu twórczości ogólnonarodowej bez demagogicznego i jałowego efekciarstwa i wystawiania języka wszystkim innym rodakom zajmującym się kulturą poza łamami „Kontynentow”. Niech się Pan nie przejmuje „odejścien” różnych obiecujących talentów. Od dziesięciu lat obiecują i niczego nie dokonali. Czaykowski się marnuje – wielka szkoda. Sulika warto utrzymać przy filmie. Ostatnio bardzo ciekawie pisze Darowski. Czerniawski może z pożytkiem pisać o poezji angielskiej,

> *byle sam nie pisał wierszy. Natomiast z lekkim sercem pozbyłbym się Taborskiego jako publicysty. To jest arogant i nic więcej. Jego oceny i wystąpienia mają charakter wieców w powiatowych miasteczkach. Owszem, sporo wie on o literaturze angielskiej i gdyby się do tego ograniczyl, mógłby być pożyteczny. Niestety, usiłuje grać rolę proroka. Ta jego pogróżka, że odejdzie „w inny świat" brzmi infantylnie…*

Mnie się też dostała jego ironia, kiedy napisał w następnym roku:

> *Cieszę się ogromnie, że Pan zechciał rzucić okiem na moją recenzję wierszy Hemara i dziękuję za informację, że są to „zręczne wierszyki", a nie poezja. Uzbrojony w tę wiedzę, rad bym ją kiedyś uzupełnić Pańskim doświadczeniem, co nazywamy poezją.*

O ile pamiętam, sprawa została w zawieszeniu.

———

O Janie Bielatowiczu:

https://www.cultureave.com/pisarz-ktory-nie-zasluzyl-na-zapomnienie-jan-bielatowicz-1913-1965/

Legendarna felietonistka z Londynu – Krystyna Cywińska.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Przez szereg dekad “polski Londyn” delektowało cięte pióro zadziornej felietonistki Krystyny Cywińskiej. W “Dzienniku Polskim” i “Tygodniu Polskim” brylowała jej ironia i dociekliwość. Zawsze uważałem, że brakować nam będzie smaku specyficznej atmosfery “polskiego Londynu” bez wyboru felietonów Krystyny. Ona, niestety, nie zabiegała o to i dziś tylko zachowane, pojedyńcze egzemplarze pisma radują naszą duszę. Patrzę na jej felieton “Ojczyzno, gdzie jesteś?” sprzed wielu lat. Wtedy to “Polityka” publicznie spytała dlaczego emigranci nie wracają, a przecież byliby potrzebni. Zacytowała odpowiedzi kilku bardziej znanych ludzi z emigracji. Mrożek przebywał wówczas w Meksyku. Jego głos brzmi teraz jeszcze donośnie i warto go przypomnieć, bo nadal daje do myślenia.

Krystyna Cywińska przypomniała, że Mrożkowi “przedwojenne wartości, tak mu bliskie, zniszczyło pięć lat okupacji i czterdzieści parę lat komunizmu. Z okupacji naród wyszedł poraniony fizycznie, pokrzywiony moralnie, a przede wszystkim śmiertelnie zmęczony. A komunizm jego zdaniem “uruchomił w Polsce chama”. Tego prawdziwego, naturalnego, który z pochodzeniem społecznym nie ma nic wspólnego.

Jego definicją jest arogancja, absolutna pewność, że mu się wszystko należy, a nic go nie obowiązuje, więc wszystko należy mu się za nic. W Polsce przedwojennej – pisze Mrożek – nie było motłochu, nawet lumpenproletariat, nawet świat przestępczy miał jakieś swoje reguły gry, kodeksy i poczucie honoru. Była ciemnota, ksenofobia, niezgulstwo, ale chamstwo – nie. Cham nie był w modzie. Dopiero komunizm wyzwolił chama. Zniszczył społeczeństwo, które go kontrolowało i zastąpił je pańswem, które nic nie miało przeciwko chamowi, jeśli cham nie miał nic przeciwko niemu… Komunizm odszedł, cham pozostał.

O Krystynie Cywińskiej:

https://www.cultureave.com/felietonistka-z-pazurem/

Z pustych serc w próżną formę

fot. cgtrader.com

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Nie raz już zastanawiano się nad problemem twórczego pisania poza krajem, z dala od polskiego społeczeństwa. Nie chodzi o czasowe pobyty pisarza za granicą, ale o Polaków stale przebywających poza ojczyzną. Wystarczy spojrzeć na same tytuły artykułów i antologii, aby zdobyć niezłą orientację w materii: „Mowa bez ziemi", „Ryby na piasku", „Opisanie z pamięci", „Cena wolności" itp. Te nagłówki dostatecznie mówią o anormalnych warunkach piszącego na emigracji w ojczystym języku. O ile jest zrozumiałe i naturalne, że pisarze wyrzuceni z ojczyzny przez kataklizm historyczny i nie mogący z powodu sytuacji politycznej do niej powrócić, piszą dalej, kontynuują swoje powołanie artystyczne czy naukowe, o tyle dorastająca za granicą młodzież jest w innej sytuacji. Kiedy młody człowiek podejmuje pióro, nawet we własnym kraju w normalnych warunkach, robi krok pełen ryzyka. Jest on szansą, a może się stać wielką przygodą. Debiutant musi opanować narzędzia swego

fachu, umieć przekonać do siebie kolegów, znaleźć odbiorców. Jeżeli ma talent, czuje gust czytelnika, to startuje pod pomyślnymi znakami. Debiut wśród obcych w mało znanym otoczeniu bez zapewnionych czytelników jest zupełnie inną propozycją.

Takie trudne początki miała grupa młodych Polaków, która w latach pięćdziesiątych znalazła się w Anglii, precyzyjniej: w Londynie. Na przykładzie ich terminowania, najpierw w Kole Polonistów, a następnie w redakcjach pism studenckich „Życie Akademickie", „Merkuriusz Polski" i „Kontynenty" można obserwować ich początki. Trzeba na wstępie zaznaczyć, że byli oni dziećmi, kiedy wybuchła wojna, najstarszy z nich liczył czternaście lat. Języka polskiego douczali się w sowieckich posiołkach, w obozach wojskowych, na pracach rolnych. Nie była to szkoła najlepsza.

Równocześnie poddani byli interferencji języków obcych z angielskim na czele, który był nie tylko językiem społeczeństwa, z którym związali swoje losy, ale zwycięskim medium, które podbijało wszystkie kontynenty stając się bezspornym językiem światowym.

U tych młodych, mimo rozległych perspektyw, jakie ukazywał język angielski, zwyciężył jednak język polski, niedouczony, taki jakim władali, jako język pierwszy i kulturowo decydujący. On się stał materią ich pisarskiej twórczości. Układając po polsku pierwsze wiersze czuli, że weszli na niezmiernie uciążliw, ale właściwą i jedyną drogę.

Normalną koleją spraw, powinni się byli uczyć od swoich starszych kolegów o przedwojennym dorobku i kontynuowanej twórczości, a nie brakowało ich w stolicy Wielkiej Brytanii, w której schronił się legalny rząd i powstały liczne placówki dające poczucie namiastki państwa, również instytucje kulturalne jak uniwersytet, dynamiczna biblioteka, teatr, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, bogata prasa i szereg domów wydawniczych. Logiką nowego pokolenia nie poszli w ślady starszych, bo kierunek wytyczony przez nich nie był dla debiutantów atrakcyjny. Młodzi czuli się inni, mieli tylko ograniczoną pamięć ojczyzny, a już byli po części z Zachodem zżyci.

Z początku funkcjonowali jako dziwny fenomen, *curiosum* zgoła na polskiej scenie. Ale w miarę jak szli dalej własną drogą, nie potrzebowali wskazań innych, odezwały się głosy niezadowolenia i cenzury. Krytykowano szczególnie ich twórczość

poetycką.

Poezja współczesna nie ma czytelnika. Trudno jest powiedzieć czy to z winy samych poetów, którym się zarzuca odejście od człowieka, czy należy zapisać to na karb elitarności poezji wymagającej zbyt wiele od odbiorcy, czy wreszcie winić ducha czasu objawiającego się w innych mediach. Można oczywiście kroczyć wśród epigonów i „podobać się" mało wybrednemu audytorium, ale to nie każdego zadawalało. Oryginalność i nowatorstwo są zawsze trudne i ci, którzy im hołdują, płacą wysoką cenę w postaci braku zrozumienia i popularności. Nie mniej stanowią one wyzwanie raz po raz podejmowane. Nie inaczej było z poetami londyńskimi, o których mowa. Zarówno ich niegodzenie się z zastanym, jak i brak pisarskiego doświadczenia i w rzeczy samej nikły dorobek oraz zbyt schematyczne określanie swojej postawy, sprawiły, że byli w swoim czasie celem ataków starszych pisarzy.

Potykał się z nimi solidnie w polszczyźnie osadzony **Zygmunt Nowakowski** (1891-1963). Nie rozumiał rozterki młodych w wyborze języka. Pasował ich łaskawie na biegłych praktyków przewidując, jak się miało okazać, trafnie, że mimo odgrażania się, przy języku polskim pozostaną. Natomiast **Jan Rostworowski** (1919-1975), poeta popularny, którego lubiane wiersze zapełniały sale, zgłosił zasadniczy sprzeciw. Dla niego już sama myśl, samo podawanie w wątpliwość sensu tworzenia na uchodźstwie w języku polskim, było herezją. Jego schronienie się w mowie, którą znał znakomicie, było szczęśliwsze od sytuacji młodych, ciągle jeszcze terminatorów, których wabiły różne perspektywy i nęciły szanse na opanowanie bardziej przydatnego języka.

Jan Rostworowski był znacznie od Zygmunta Nowakowskiego młodszy i wiekiem i wykształceniem zbliżony do grupy młodych poetow. Nie dostrzegał jednak ich problemu, jaką była niezgoda na tematykę i formę pisarstwa starszych kolegów. Widział w niej po prostu chęć odejścia od człowieka, w tym wypadku od człowieka emigracyjnego i ochotę służenia sztuce dla sztuki. Dziwił się, że młodzi, którzy w lwiej części nie posiadali biografii wojennej, zainteresowani byli tematyką odmienną i przewrotnie lekceważyli symbole swoich ojców, którzy dopiero co wyszli, dotkliwie doświadczeni, z kataklizmu wojennego. Zawieszeni między niemożnością podążania wydeptaną ścieżką a dramatem przypisania do języka pozbawionego konkretów i rzeczywistosci, którą wyrażała, jasno widzieli swoja niepewną przyszłość. Chcieli

wyjść na pisarzy, mierzyli wcale wysoko nie mogąc liczyć na czytelnika, który im będzie towarzyszył, odrzucali równocześnie epigoństwo i twórczość okolicznościową, pisarską polonijność w sensie zamkniętych horyzontów, taryfy ulgowej i braku ambicji.

Rostworowski dostrzegał jedynie odżegnywanie się od losu grupy wychodźczej dla pustego hołdowania czystej twórczości. Dlatego przepowiadał „palec piszący na ścianie 'mane tekel fares' ich artystycznej porażki". Dziwiło go, że młodzi nie przewidywali sukcesów, że spodziewali się pustki. Sami ją wytworzyli i dlatego byli dla niego ludźmi osobliwymi, trochę z innej planety, ludźmi, którzy znaleźli się mimo woli w skomplikowanej sytuacji.

> *Wolność mają. Wolność – że zapożyczę się u Miłosza – przed strachem zniewolonego umysłu. I to ich tu trzyma. Na jak długo? Trudno przewidzieć. Może dopóty, dopóki strach przed próżnią nie okaże się silniejszy niż strach przed zniewolonym umysłem.*

Taki los przepowiadał wiele lat temu poeta wówczas mocno osadzony na emigracji, wzięty i celebrowany liryk. Czy później miał jakieś wątpliwości, co do swojej prognozy? Bo „strach przed próżnią" okazał się jednak słabszy. Młodzi, o których pisał tak namiętnie, postarzeli się na emigracji, za to Rostworowski wrócił do Polski. Wyroki przyszłości są niezbadane, ale prywatne decyzje zasługują na szacunek. W cytowanym już artykule (Haracz wolności, *Tydzień Polski*, 11.03.1961) poeta krakowski pomówił nas ponadto, że uciszyliśmy w sobie „teologiczny dialog" i że przelewamy „z pustych serc w próżną formę". Dlatego, zdaniem autora, z tym bagażem nie wnijdziemy do Królestwa.

Wyrokowanie o zbawieniu bliźniego jest czynnością pochopną. Chcę wierzyć, że także w tym wypadku nasz krytyk nie będzie miał ostatniego słowa.